Pragmatyczny Szmajdziński

16 marca 2010
10 marca uczestniczyłem w spotkaniu z Jerzym Szmajdzińskim w Collegium Historicum Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Choć gość nie mógł się poszczycić zapełnieniem po brzegi sali, wykazał się taką niezłomną pewnością siebie, która zapewniła mi niezłą zabawę.

CO TYGRYSY LUBIĄ NAJBARDZIEJ

Szmajdziński nie wygłosił wykładu – jedynie prowadzący spotkanie przedstawiciel Stowarzyszenia Studenckiego Primus Inter Pares przedstawił jego krótki rys biograficzny i przypomniał, że wszyscy na sali mają oto do czynienia z oficjalnym kandydatem Sojuszu Lewicy Demokratycznej na prezydenta.

Ten, ledwo z sali padło pierwsze pytanie, nie omieszkał przeciwstawić z natury swej koncyliacyjnej lewicy okropnemu i awanturniczemu PiS-owi. Wspomniał też, że jego kandydaturę popiera nie tylko SLD, lecz potężny blok, reprezentujący praktycznie całą paletę ugrupowań lewicowych i centrolewicowych w Polsce.

Miał ułatwione zadanie, gdyż pierwsze pytanie dotyczyło pomysłu urządzenia prawyborów przez Platformę Obywatelską – do czego zresztą odniósł się sceptycznie. Mógł zatem bezpiecznie grać o tych, którzy głosują nie tyle na nią, co przeciwko PiS-owi. To zresztą przecież stały punkt programu w jego faktycznie toczącej się już kampanii wyborczej.

Przepychanki między politykami, reprezentującymi różne segmenty najczęściej wielkomiejskiej, a czasem również wiejskiej czy małomiasteczkowej burżuazji nie są jednak tym, co tygrysy lubią najbardziej – i ani święty Boże, ani nawet nieświęty Palikot tutaj nie pomoże! Już drugie zadane z sali pytanie dotyczyło bowiem udziału Polski w awanturze wojennej w

Iraku.

O zgrozo, niekulturalnie puścił bąka w nos salonowemu politykowi student kultury politycznej, który najwyraźniej zdołał wygrzebać ze słownika polskich przekleństw i wulgaryzmów to okropne słowo: imperializm.

LEWICA LUDZI BIAŁYCH

Szmajdziński ani wówczas, ani nigdy potem nie wykazał cienia nie tylko nerwowości, ale nawet zakłopotania. Kogoś, kto nie ma pojęcia o arkanach funkcjonowania oficjalnych polskich elit politycznych, zamienić w słup soli mogłaby dziecinna łatwość, z jaką „Kennedy", rozpoczynający swą karierę polityczną w ZSMP, mówił o imperializmie jako pojęciu „z minionej epoki".

Nie w tym rzecz jednak – Szmajdziński wzorowo odmówił litanię najbardziej wyświechtanych frazesów, jakie znamy z historycznego śmietnika niesławnej administracji Busha.

Nie tylko zupełnie obce tej „gwieździe lewicy" jest poddawanie w wątpliwość pojęcia tzw. „wojny z terroryzmem" – choć mówi o niej miodopłynnie. Praktycznie przez większość spotkania powracał do tego, że dany mu był dość swobodny dostęp do największych tajemnic NATO – więcej, chyba nic innego nie jest dla niego w życiu większym powodem do dumy.

Choć po inwazji na Irak Polska otrzymała zarząd nad jedną z trzech – poza amerykańską i brytyjską – stref okupacyjnych, w żadnym razie nie widział problemu lizusostwa naszego kraju wobec naziemnego lotniskowca zza oceanu.

Przeciwnie, bez zająknięcia przypominał – jako swoje – słowa ówczesnej oficjalnej propagandy o „koalicji chętnych". Zadaniem lewicy nie jest zatem najwyraźniej dla niego aktywne przeciwstawianie się białej supremacji oraz obrona pozycji internacjonalistycznych i antyimperialistycznych.

Jedyne, co przyprawia go o rozterki, to rozliczne błędy

Amerykanów w zarządzaniu okupacją.

Nic – ani fakt, że twierdzenia o obecności w Iraku broni masowego rażenia okazały się być kłamstwem stulecia, ani potworne straty ludzkie w tym kraju, jak również w Afganistanie, ani wszystkie zakładane przez przewodnią siłę „wolnego świata" gułagi takie jak ten w Abu Ghraib, ani nawet to, że niedawno ujawniono dokumenty, dowodzące lepiej niż kiedykolwiek, że jeden z tych gułagów znalazł się w Polsce niedaleko lotniska w Szymanach – nie jest w stanie zmącić dobrego samopoczucia prezydenckiego kandydata SLD.

MARSZAŁEK SIĘ OBUDZIŁ

Co więcej, on i pomagający mu na spotkaniu współpracownicy dowiedli mi niezbicie, że posiadam niezwykle żywotny wspólny interes z SLD: interes zachowania niezmąconego niczym dobrego samopoczucia. Bowiem jakiś czas po tym, gdy jako trzeci uczestnik spotkania zadałem Szmajdzińskiemu pytanie, podszedł do mnie towarzyszący mu yuppie w glanckim garniturze, stwierdzając, że kompletnie się ze mną nie zgadza, ale musi jednak mi podziękować, gdyż rozbudziłem „Marszałka".

O cóż tymczasem zapytałem? Najpierw – o jego stwierdzenie z wielką pewnością siebie o legitymacji, jaką dała mu praktycznie cała lewica w Polsce. Pozwoliłem sobie również wspomnieć o Polskiej Partii Pracy, która – jak powiedziałem – jako jedyna w Polsce partia, nie mająca nigdy reprezentacji parlamentarnej, w kolejnych wyborach wystawia listy we wszystkich okręgach. Stwierdziłem, że znaleźć w niej jego zwolennika jest z pewnością o wiele trudniej niż znaleźć ateistę w Watykanie.

Postawiłem kwestię, czy może Szmajdziński odmawia Polskiej Partii Pracy prawa do samookreślenia jako partia lewicowa – tak jak właśnie niedawno uczynił wobec portalu Lewica.pl. W tym momencie rzecz jasna wróciłem do tematu, do którego jako pierwszy nawiązał niekulturalny student kultury politycznej.

Przypomniałem niedawno opublikowany na Lewica.pl sondaż, w którym głos oddało około 1200 osób i ponad 70 proc. z nich opowiedziało się za pociągnięciem go do odpowiedzialności karnej za zbrodnie wojenne w związku z jego udziałem w decyzji o wysłaniu polskich wojsk do Iraku.

W związku z tym, jak zauważyłem, nie dziwię się przedstawionej przez niego – wyrażonej, gdy wzmiankę o tym sondażu przedstawił Wojciech Wybranowski w „Rzeczpospolitej", za którym poinformowały też o sprawie czołowe polskie portale internetowe – ocenie Lewica.pl, z którą mam zaszczyt stale współpracować. Dlatego, że najwyraźniej mamy fundamentalnie odmienne spojrzenie na to, czym jest lewicowość.

W tym kontekście przypomniałem, że w swoim czasie wręczył on jedno z najwyższych odznaczeń państwowych Donaldowi Rumsfeldowi – stwierdziłem przy tym, że przecież sugerowanie iżby ów symbol jastrzębiej polityki Białego Domu i Pentagonu miał cokolwiek wspólnego z jakkolwiek pojmowaną polityką lewicową, byłoby numerem kabaretowym stulecia.

Twarda sztuka jednak ten Szmajdziński – za jego pokerową twarz z chęcią dałbym mu główną rolę w remake'u „Ojca chrzestnego".

„Pan chce mnie postawić przed Trybunałem Stanu" – miałem przyjemność usłyszeć. Ale… cóż w tym złego! „Kennedy" jest gotów rozmawiać z tymi, którzy zamierzają go tam postawić. Nie jest przecież awanturniczym Kaczyńskim, lecz koncyliacyjnym Szmajdzińskim.

Koncyliacyjnym na tyle, że za nieważne uznał jakiekolwiek moje pytania o lewicowe pryncypia – domyślam się, że czas na takie rozważania był w minionej epoce, gdy „Kennedy" jawił się jako młody, utalentowany i jakże obiecujący działacz ZSMP.

Być może Szmajdziński wykazał się taką podziwu godną koncyliacyjnością dlatego, że z charakterystyczną dla niego szczerością i tupetem odparł również, że odpowiedzialnym za podjęcie decyzji w sprawie wojny jest prezydent.

Umywa zatem ręce od odpowiedzialności jako ówczesny minister obrony narodowej. Oczywiście, jakżebym śmiał uderzać w wychwalaną przezeń jedność lewicy i insynuować, że gotów jest w razie wyższej konieczności uczynić kozłem ofiarnym Aleksandra Kwaśniewskiego!

OPORZĄDZIĆ SIĘ Z PROBLEMEM

Dlatego też w wypadku Polskiej Partii Pracy najważniejsze jest dla niego, że nie wykracza ona poza próg jednego procenta poparcia, gdy tymczasem Sojusz Lewicy Demokratycznej dwukrotnie był u władzy. Przecież pryncypia to gadżet z minionej epoki – i co tam, że polityka SLD walnie przyczyniła się do długotrwałego paraliżu konsekwentnie lewicowej polityki w Polsce!

Szmajdziński dalej przy tym – wszak kontynuowałem wątek Iraku – niestrudzenie odprawiał mantrę rodem z Białego Domu i Pentagonu, jak też zarazem obrócił całą sprawę w żart. Nie czarujmy się: zrobił to niezwykle sprawnie i z pewnością jeszcze niejednokrotnie wykaże się podobną sprawnością. W tym wypadku zadanie ułatwiał mu fakt, że dużą część publiki stanowili jego zwolennicy. Ach, jakże rozbawiona była sala jego bon motami!

Miał bowiem wiele do powiedzenia. Aż nazbyt wiele.

ANTYKLERYKALNY KLERYKALIZM

Tak się okazało, gdy z sali padły kolejne pytania i Szmajdziński przeszedł do zachwalania antyklerykalnej i służącej zwiększeniu swobód obyczajowych polityki Sojuszu. Przypomniał o liberalizacji ustawy antyaborcyjnej w okresie, gdy SLD po raz pierwszy znalazł się u władzy, oraz że partia ta skutecznie blokowała wówczas ratyfikację nierównoprawnej umowy konkordatowej.

Wszystko to – przypomniał Szmajdziński – zepsuł AWS.

Wspomniał też, że jest zwolennikiem parytetów na listach wyborczych i zganił mnie, że niepotrzebnie się licytuję, gdy przypomniałem, że w ostatnich eurowyborach Polska Partia Pracy jako pierwsza w kraju partia po 1989 r. wystawiła na swych listach wyborczych niemal tyle samo kobiet, co mężczyzn.

Byłbym nawet przyjął tę naganę, gdyby nie pewien ambarasujący szkopuł. Otóż przypomniałem mu jego stwierdzenia, że nie wolno wojować z Kościołem katolickim, oraz to, jak łatwo Sojusz zaprzedał prawo kobiet do aborcji oraz kwestię konkordatu w zamian za biskupie i papieskie kropidło, które pomogło wprowadzić Polskę do Unii Europejskiej.

Szmajdziński zaczął grać niczym katarynka wcześniejszą melodię o „pierwszych" rządach Sojuszu. Jednak delikatnie się wtrąciłem i przypomniałem, że pytałem nie o „pierwszy Sojusz", lecz o „drugi Sojusz" – ten z lat 2001-2005.

Odpowiedź wprost zaskakująco mnie zadowoliła!

Szmajdziński stwierdził, że na jakąkolwiek kontestację w kwestii ustawodawstwa antyaborcyjnego i konkordatu nie było wówczas warunków – takie działanie musiałoby się okazać przeciwskuteczne. O skuteczności – pojmowanej wyłącznie jako skuteczność w dochodzeniu do władzy i jej utrzymaniu – gadał on zresztą w koło Macieju.

Po pierwsze, sojusznikiem SLD było wówczas Polskie Stronnictwo Ludowe – zauważmy skądinąd: najtrwalszy składnik polskiej galaktyki partii burżuazyjnych – którego działacze ani chcieli o czymś takim słyszeć. Po drugie, jak ja sobie wyobrażam forsowanie takich spraw w momencie, gdy trzeba wysępić od białego papy w Watykanie błogosławieństwo dla wejścia Polski do Unii Europejskiej!

Skuteczność, głupcze! – mógłby zakrzyknąć Clinton. Ach, przepraszam… „Kennedy".

Usłyszałem też, że Szmajdziński nie widzi warunków, by walczyć

o zmianę na wspomnianych polach również w najbliższej (a pewnie i dalszej) przyszłości.

Zrobiłem zatem to, do czego byłem zmuszony. Mianowicie grzecznie podziękowałem Szmajdzińskiemu za szczerość i stwierdziłem, że niech każdy na sali sam wyrobi sobie tu zdanie. Już wcześniej zdążyłem wyrazić opinię, że podobnie będzie można liczyć na SLD, gdy mowa o obronie coraz bardziej kadłubowego kodeksu pracy czy zwalnianych z pracy związkowców – w kraju, w którym wymierzone w pracowników „prowizorki" zawsze okazują się najtrwalsze!

Nie było już słychać na sali śmichów-chichów.

NAJPIERW GROŻĄ, POTEM GŁASZCZĄ

To oczywiście tylko wybrane scenki ze spotkania – każdy burżuazyjnie profesjonalny i profesjonalnie burżuazyjny dziennikarz dowiedzie niezbicie, że akurat najmniej ważne ze wszystkich. Szmajdziński nie mówił też nic, co stanowiłoby odkrycie neokonserwatywnej Ameryki w konserwach – podobne rzeczy z pewnością da się usłyszeć na innych spotkaniach z tym politykiem, szczególnie gdy spotka się on z niewygodnymi pytaniami czy to w kraju, czy może także i za granicą.

W jego zachowaniu jest jednak parę rzeczy znamiennych.

Gdy pojawił się wspomniany sondaż na Lewica.pl, i gdy następnie Wybranowski doniósł o nim w „Rzeczypospolitej", niektórym (zapewne szczególnie młodym) działaczom SLD puściły nerwy. Widać to było choćby na niektórych forach dyskusyjnych, gdzie zaczęli z furią trollować, grożąc procesem o zniesławienie każdemu, kto podejmie kwestie współodpowiedzialności Szmajdzińskiego za wplątanie Polski w kolejne awantury imperialistyczne.

W ten sam ton uderzył młody wilk SLD Łukasz Naczas, gdy – w dość tabloidalnej formie – przypomnieli na swej stronie o tej i innych kwestiach Młodzi Socjaliści. Choć nie są oni moimi

superulubieńcami, muszę przyznać, że akurat tym razem zadziałali pożytecznie i pomogli utrzymać choćby krótkotrwały ferment po sondażu na Lewica.pl.

Chodzi jednak przecież o ferment długotrwały. Szmajdziński wycofał się rakiem ze swojej wypowiedzi, że nieprzychylna mu strona internetowa nie jest lewicowa – i to już przed spotkaniem, na którym byłem obecny. Co najmniej równie ciekawe są też skierowane do mnie słowa, że gotów jest rozmawiać o Iraku ze swymi radykalnymi krytykami.

Zapewne nie jestem jedynym, który takie słowa usłyszał.

Czołowe stronnictwa burżuazyjne, w tym SLD, posiadają zręcznych i doświadczonych planistów politycznych. Pokerowa twarz Szmajdzińskiego odzwierciedla zapewne przyjętą przez jego partię przemyślaną taktykę zagłaskiwania wszystkich tych, którzy ośmielą się przebąkiwać o tym, o czym przebąkiwać absolutnie nie należy.

Wspomnę jeszcze, że byłem pierwszą i chyba jedyną osobą spośród publiki, do której Szmajdziński osobiście podszedł po zakończeniu spotkania. Nie miałem mu jednak wówczas już nic do powiedzenia.

RÓBMY SWOJE!

Ta zmiana podejścia świadczy o tym, że jego partia traktuje zagrożenie z lewa poważnie. Dlatego my, prawdziwa i konsekwentna lewica, musimy przeciwstawić jego pragmatyzmowi nasz – również zupełnie odmienny – pragmatyzm.

Przykazanie pierwsze: nie bójmy się pozostawać w mniejszości. Przykazanie drugie: przygotujmy się na trudną i długotrwałą, wręcz przewlekłą walkę polityczną.

Fryderyk Engels powiedział kiedyś o Kościele anglikańskim, że prędzej wyrzekłby się 38 z 39 swych dogmatów wiary niż jednej trzydziestej dziewiątej swojego majątku. Per analogiam: SLD

prędzej wyrzeknie się wszystkich czy niemal wszystkich swych haseł wyborczych niż jednej trzydziestej dziewiątej wysokości słupków w sondażach czy wyników w kolejnych wyborach.

My zaś, choćby miała nam przejściowo przypaść w udziale jedna trzydziesta dziewiąta obecnego poparcia – a nic aż tak fatalnego nam nie grozi – nie powinniśmy się wyrzec jednej trzydziestej dziewiątej naszych zasad.

To nasz jedyny możliwy pragmatyzm – gdyż inaczej stracimy rację bytu. Pragmatyzm SLD jest inny – gdyż jego cyniczną racją bytu jest właśnie brak racji bytu.

Dobrze pojęty pragmatyzm to oczywiście także miliony małych kroczków, półśrodki, kompromisy i lawirowanie – takie jednak, które służą dalekosiężnym celom, a nie te, które oznaczają wobec nich totalne zaprzaństwo. Gdyż tak jak trwoniący czas w bibliotekach i muzeach Marks pochodzimy pewnie z innej epoki geologicznej – i nie widzimy w tym nic zdrożnego.

Stąd też rada jest prosta. Tępić tych, którzy sieją defetyzm – i nade wszystko uparcie robić swoje!

Choćby dlatego, że wielka pewność siebie Szmajdzińskiego – nie mającego doświadczenia politycznej działalności w niszy – może jeszcze zadziałać jak polityczna skórka od banana.

Autor: Paweł Michał Bartolik
Źródło: Interncjonalista
Materiał nadesłany do „Wolnych Mediów”